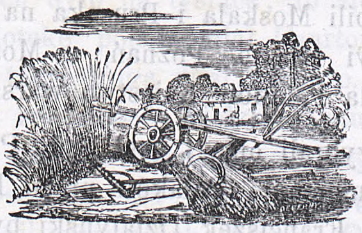
Tom IV. 1. Października 1871. Nr. 10.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Tytus Działyński

*uczony pan polski i ojciec dla ludu.*

Miasto Oleszyce, za Sieniawą położone, miało różnych panów, ale między tymi panami był najlepszym pan Tytus Działyński, który tu przesiedział sam dziewięć lat z okładem, t. j. od roku 1828 do 1839 i był ojcem dla chłopów, bo uwolnił ich za opłatą roczną od pańszczyzny na wieczne czasy. Kiedy u nas trwała pańszczyzna jeszcze jakie 16 lat potem, to w skarbie Oleszyckim nikt jej od 16 lat nie znał. O takim dobrym polskim panu powinien każdy z nas wiedzieć.

Był on urodzony w mieście Poznaniu, gdzie dziś Prusak rządzi, z ojca Franciszka Ksawerego Działyńskiego i matki Justyny z Dzieduszyckich, panów bogatych, roku 1797 na samo Boże narodzenie. Cała rodzina jego była znana z zasług wielkich i szanowaną na całą Polskę. Ojciec sam, wielce pobożny, wziął do domu księdza Miszewskiego na nauczyciela dla młodego syna Tytusa, aby go pod okiem rodziców wyuczył na dobrego Polaka; syn też uczył się, słuchał i sprawował dobrze. A choć ojciec był bogaty, choć młody Tytus wiedział, że po ojcu zabierze majątek wielki, to zawsze pamiętał o tem, że majątek bez nauki i zasługi nie zbawi nikogo na czas długi.

Francuzi prowadzili wtedy wojnę straszną prawie z całym światem, a gdy zbili Moskala i Prusaka na kwaśne jabłko, to odebrali Prusakowi miasto Poznań, a Moskalowi Warszawę i zrobili z tego dla Polaków Księstwo warszawskie.

Polacy też wybrali ojca i posłali do Paryża, aby tam był zawsze i bronił sumiennie Polaków przed Francuzami, co się nazywało, że pan Franciszek Działyński był w Paryżu ambasadorem, czyli obrońcą Polaków. Było to roku 1810, a gdy wtedy syn jego Tytus był sporym chłopakiem i liczył 13 lat, to też ojciec zabrał go z sobą do Paryża i tam go oddał do szkół. Uczył się tam wszystkiego dobrego, aby potem swoim rozumem odwdzięczyć się całemu polskiemu krajowi. W roku 1815 w Wiedniu wszyscy cesarze i królowie skasowali Księstwo Warszawskie, a całą Polskę pod siebie rozebrali: Moskal, Austryjak i Prusak i przysięgli tam, że Polakom krzywdy żadnej nie zrobią, czego jednak nie dotrzymali. Ojciec zmartwiony wrócił do Poznania i umarł tam z zgryzoty roku 1819, a syn Tytus 22 letni młodzian i dobrze uczony poszedł do Pragi i tam został profesorem, gdzie było dużo Polaków na nauce. Nie robił on tak, jak zwyczajnie robią bogaci, że rzucają szkołę i naukę, a idą do domu po majątek ojcowski, aby używać i nic nie robić — on pracował głową, aby potem majątkiem i nauką zarobić sobie u Polaków na dobre imię i nie zrobić żadnej hańby ojcu i matce, ani całej rodzinie. A miał on po ojcach wielkie dobra. Prusaki chcieli mu niesprawiedliwie wydrzeć cały klucz jeden dóbr po ojcu, co się zwał klucz Kórnicki, ale Tytus miał wielki rozum i przez różne procesa z Prusakami odebrał im to, w Kórniku osiadł, wszystko tam od Prusaków zrujnowane ponaprawiał, pałac wyfundował, folwarki powystawiał, Prusaków ztamtąd wygnał do jednego, a samych Polaków posprowadzał, szkołę zaprowadził i żył tam jak ojciec dobry z swymi dziećmi ze wszystkimi Polakami, tak panami, jak księżami i chłopami.

Było to roku 1823, kiedy Moskale i Prusaki zabierali wszędzie stare polskie książki, po prostu wykradali i do siebie wywozili, aby młodzi Polacy nie mieli się na czem uczyć historyi o ojcach swoich i byli zmuszeni zostać Moskalami albo Niem-

cami. Ale bogaci panowie zakupywali takie książki i składali u siebie, a gdzie ich było na tysiące, to się zwała biblioteka polska. Taką bibliotekę polską miał Czartoryski w Puławach koło Warszawy, i taką drugą miał także p. Tytus Działyński w Kórniku Ztąd znajomość wielka Tytusa Działyńskiego z Czartoryskim, z którego wnuczką Celiną Zamojską ożenił się roku 1825 i dostał za nią Oleszyce, gdzie potem przebywał 9 lat i uwolnił wszystkich chłopów Oleszyckich od pańszczyzny wieczyście, za co go chłopi ojcem swoim nazwali i do dziś o nim z płaczem wspominają. Z Oleszyc przeniósł się do Kórnika, bo tam Prusaki zmuszali chłopów polskich, aby zostali Niemcami — razem więc z panami i księżami robił co tylko mógł, aby chłopi nie słuchali bałamuctw niemieckich, nie uczyli się szwargotać po niemiecku, ale trzymali się swego po dawemu i byli dobrymi katolikami i Polakami. W dobrach swoich pozakładał on po wszystkich folwarkach różne warsztaty dla majstrów i czeladników i przyjmował tylko samych Polaków, a płacił umyślnie drożej Polakom, aby mieli zarobek dobry, a Niemiec ani jeden tam nie postał. Osobliwie w Kórniku miał takie warsztaty, dokąd przychodzili z całej Polski różni rzemieślnicy i tam pozostawali na zawsze, tam się pożenili i dorabiali się majątku, a z ich szkoły wychodzili znowu na cały polski kraj dobrzy murarze, stolarze, malarze, snycerze i t. d.

Nietylko do niego szli rzemieślnicy różni, ale i sztukmistrze; na ten przykład był tam niejaki Kilisiński, który potrafił dłuteczkami i szydełkami stalowemi tak na blasze wyrzynać z ręki różne obrazki, że jak przyłożył potem papier na to i odjął, to obrazek był tak jak malowany od malarza. A to sztuka wyrznąć na twardej blasze takie rzeczy, ztąd też nazywa się taki sztukmistrz po naszemu rytownikiem, jak znowu ten, co wyrabia z kamieni, marmuru różne osoby, zowie się rzeźbiarzem. Szli do niego do Kórnika Polacy uczeni, na ten przykład Muczkowski, który się znowu rozumiał tak na każdej książce polskiej, że jak popatrzył na pierwszą kartkę i napis książki, to ci z pamięci do razu wypowiedział na wyrozumienie, co tam były za słowa, myśli i nauki. I na to trza pamięci i głowy nielada, toż tący znawcy książek starych nazywają się

bibliografami i są bardzo potrzebni do bibliotek. Był tam także Karol Rej, mądry nauczyciel ze szkół, który znowu znał się na nauczaniu dzieci. Otóż przy pomocy takich uczonych spisywał i malował Tytus Działyński wszystkie dawne pamiątki polskie i rozsyłał każdemu, kto chciał to mieć — to znowu skupował różne stare historye polskie, co to zowiemy kronikami i te kazał drukować w swojej drukarni na tysiące książek, a kto chciał to mieć, to dostawał w Kórniku — to znowu pisał sam z swej głowy mądre książki dla Polaków, drukował i rozsyłał każdemu, kto chciał. Dlatego to szli do Kórnika Polacy tak pany, jak rzemieślnicy, nie przymierzając jak do studni ludzie po dobrą wodę. Ztąd znali go chłopi, rzemieślnicy, uczeni, panowie w całej Polsce, a za Polską całą znali go Francuzi, Anglicy; a Niemcy i Moskale nie lubili go za to, że sam nie chciał być Niemcem ani Moskalem, a Polakom na dobre radził i cały majątek dla ich dobra poświęcał. Polacy mieli od niego wszystko, a Niemcy i Moskale ani na niuch tabaki. I tak robić powinien każdy Polak, a wtedy dopiero byłoby dobrze u nas! Polak o Polaka ma stać najbardziej, bo to bracia z woli p. Boga od wieków i dziś żyją i żyć będą z woli Bożej. Wszystko jedno: czy to Polak z pod Prusaka, Moskala, czy z pod Austryjaka, powinni się kochać i najpierwej ratować, a wtedy dopiero będzie dobrze!

W Kórniku fundował szpital dla rzemieślników, którzy już zarabiać nie mogli, a gdzie także i chorzy mieli przytułek pod okiem miłosiernych zakonnic, które pielęgnują chorych i nazywają się Panny miłosierne. Gdy w mieście Poznaniu fundował jeden doktor polski, zwany Marcinkowski, dla młodych chłopaków domy, aby się tam uczyli rzemiosł przeróżnych, to Tytus Działyński łożył na to wielkie sumy i dopomógł niejednej sierocie do dobrego życia.

Gdy w katedrze w Poznaniu zamyślali Polacy postawić pomniki dla dawnych swoich królów, na ten przykład dla króla Mieczysława I., który się pierwszy ochrzcił i do Polski księży różnych posprowadzał, biskupstwa fundował — potem dla króla Bolka Chrobrego, który całą Polskę na nogi postawił, Niemców strasznie zwojował, klasztory fundował, szkoły zaprowadzał i t. d., to Tytus Działyński wysypał znowu na to

sumy wielkie i ktoby dziś był kiedy w Poznaniu, niech idzie do katedry polskiej, a zobaczy tam z marmuru wyrobione osoby tych królów, z których król Mieczysław do świętych patronów policzony, a Chrobry jest Wielkim nazwany dlatego, że dla Polaków zrobili dużo dobrego. Gdy znowu Polacy fundowali w Poznaniu szkoły łacińskie, co się zowią gimnazyalne, to Tytus Działyński podarował na te szkoły swój pałac, jaki miał w mieście. Każdy zrozumie to, co to kosztuje taka szkoła! Gdy szły dobra Gołuchów po dawnym królu Leszczyńskim na sprzedaż i koniecznie chcieli je zakupić Niemcy, to Tytus Działyński dał umyślnie o wiele więcej, aby to dla Polaków zostawić, aby tam noga niemiecka nie postała — wysypał znowu sumy wielkie na naprawę budynków w tych dobrach, aby ztąd mieli Polacy pamiątkę. Każdy Polak powinien dbać o stare pamiątki swoje i nie utracać ich nigdy, ani Moskalowi i Niemcowi nie sprzedawać, choćby mu nie wiem co dawali za to. — Nie byłoby Niemców i Moskali między Polakami, gdyby każdy stał o swoje jak się patrzy! A ponieważ wszyscy go znali jako mądrego i dobrego Polaka, to go razem na sejm wybrali, aby przed Prusakami bronił Polaków od ucisku niemieckiego. Było to roku 1857, trzy dni przed Zwiastowaniem, jak się wybierał do Berlina na sejm, gdy nagle zakończył życie. Przeżył 60 lat życia pobożnego i zasłużonego, a duszy jego niech Bóg da wieczny odpoczynek!

Po tak dobrym i zasłużonym ojcu, jak zostaną dzieci jakie, to ich ludzie kochają, a Bóg błogosławi. Zostało też po Tytusie Działyńskim 5 córek i jeden syn, którzy żyją jeszcze. Syn dziedzic ożenił się z Izabelą Czartoryską, żyje pod Prusakiem i prowadzi się dobrze, broni swego, robi dużo dobrego. Córka jedna wydała się za Adama Czartoryskiego, który siedzi w Wiedniu, a druga poszła za Władysława Zamojskiego, który siedzi pod Moskalem, ale broni swego uczciwie. — Zakupił niedawno Sokołów koło Rzeszowa.

*Ksiądz Wojciech z Zaleszan.*

# Polska jesień.

Ziemio rodzinna! czem ty karmisz dziecię,
Że tak się z tobą zrośnie jego życie?
Że tak bez ciebie każdemu z nas smutno,
A oprócz w tobie, w całym świecie nudno!
Serce leniwie po za domem bije,
A tylko w kraju swym rodzinnym żyje!...

Nieraz człek sobie cuda w świecie roi,
I są tam cuda sztuczniejsze jak swoje,
Toż się wyrywa myśl jak orlę młode,
Do szybowania przez lądy i wody, —
A niechaj jeno świat obcy spostrzeże,
Przejmie ją trwoga i żal serce bierze

Wnet słońce zblednie — posmutnieją ludzie,
I raptem jakoś znika cud po cudzie,
I tak się tęskno zrobi za swoimi,
Jakby tam Boga brakło nad obcymi.
Bo choć tam znajdzie mnóstwo pięknych krajów,
Ale nie znajdzie ojczystych zwyczajów!...

— Piękną jest nasza wiosna, gdy jest w kwiecie,
Wiosna jest piękną w całym bożym świecie;
Ale piękniejszej od polskiej jesieni,
Nie masz na całej ziem świata przestrzeni!
I czemuż? spytasz, jakimże to końcem
Bóg nas piękniejszem przyodziewa słońcem?

Och to nie z tego powodu wynika!
Słońce jednakie wszędzie wzdłuż równika;
Ale nie wszędzie jednakie wesele,
Bo takich plemion na świecie niewiele,
Gdzieby lud boży po dawnej szczerości
Tak w chrześciańskiej czcił Boga miłości...

U nas, gdy chleba pełne już stodoły,
Pszczółka miód zniosła i niegłodne woły,
To już nie słońce, nie powietrze stroi
Tak ziemię naszą w te przecudne zwoje;
Ale wesele, co wśród ludu gości
Przy darów bożych wszelkiej obfitości!

Wszędzie przy skrzypkach tańczy młodzież rojem,
Z ust jej piosenki leją się jak zdrojem,

Te pieśni życie w człowieku wzmagają,
A nawet ziemię samą upładniają; —
Dlatego u nas tak miło w jesieni,
I ozimina bujniej się zieleni!

Więc też żałośniej, niż czasu innego,
Odchodzić z pośród wesela polskiego,
Bo nasze polskie jesienne wesele
Wszystkich obejmie i wszystkich obdzieli;
A polski ludek, kiedy sam w radości,
To radby widzieć wszystkich w wesołości.

Dziad nawet żebrząc już o biedzie nie śni,
I raźniej z piersi tchnie nabożne pieśni,
Bo u nas wtedy gospodarz dostatni
Dzieli dar Boży, choćby kęs ostatni,
Za groby sięga — o ojcach pamięta,
A za swych dziadów modlą się wnuczęta.

Toż na ołtarzach światło płonie rzewnie,
I codzień organ brzmi tęskno a spiewnie,
Dzieci i wnuki po wiejskich kościółkach,
Sprawiając uczty w swych rodzinnych kółkach,
Szlą nabożeństwa doroczne, jesienne,
Za dusze zmarłych, jałmużną promienne!...

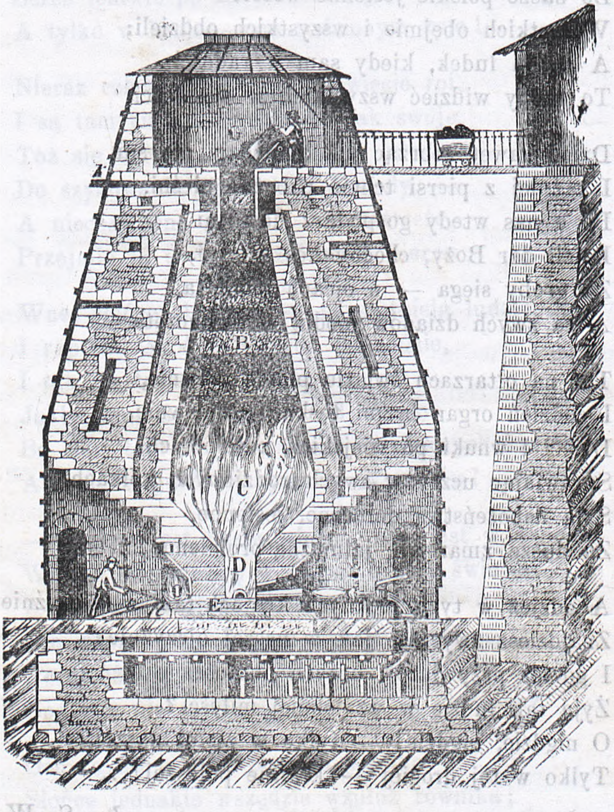
A gdzież w tych pięknych krajach tam w obczyźnie
Znajdziesz zwyczaje jak w naszej ojczyźnie?
I gdzież przy darów bożych obfitości
Żyją tak ludzie w wzajemnej miłości?
O nigdzie, nigdzie! — tylko w ziemi naszej,
Tylko w tej drogiej — krainie polaszej!...

*ks. S. W.*

# Żelazo.

**Drogie i piękne jest złoto i srebro, świeci się to i błyszczy aż miło, tak że już niejeden zapomniał i o Bogu, zaparł się najświętszych uczuć, aby tylko kawałek tego świecidełka posiadać. Ale złotem ani srebrem roli nie zorzesz, zboża nie zetniesz, konia nie okujesz, drzewa nie porzniesz i nie ułupiesz, wozu nie obciągniesz, pieca nie ustawisz: na to wszystko potrzebne ci nie tak świecące i mamiące, i nie bardzo zresztą**

drogie, ale za to najużyteczniejsze żelazo. Bez złota i srebra mógłbyś się i całe życie obejść i miliony ludzi szczęśliwych i zasobnych nie widzą go przez całe życie — ale cóżbyś począł bez żelaza? Zastanów się tylko chwilę, a już tysiące przedmiotów nawinie ci się na myśl, które z żelaza są zrobione.




Rzadko się zdarza znaleść w ziemi żelazo czyste, tak zwane rodzime — owszem prawie wszystko żelazo bywa z rudy wytapiane. A rudy żelazne prawie wszędzie się znajdują. Czerwona glinka, czerwony piasek, lubryka, rdzawka — wszystko to zawiera w sobie żelazo i może być za rudę uważane. Kiedy kawałek żelaza długo na wolnem powietrzu albo w ziemi leży, lub gdy gładkiego i świecącego kozika przez kilka dni nie oczyścisz, natenczas rdzewieje, to jest nabiera barwy czerwonej, a czasem nawet zupełnie, jak to mówią, rdza go zje. Cóż się tu stało? Żelazo przecież nigdzie nie uleciało, a jednak tak jakby go nie było. Otóż nie zginęło ono, tylko

napowrót zamieniło się w rudę, a gdybyś miał dużo takiej rdzy czyli rudy, mógłbyś z niej napowrót żelazo wytopić.

Z rudy tedy, znajdującej się w wielkiej ilości na naszej ziemi, wytapiają żelazo w tak zwanych piecach hutniczych, jaki tu na obrazku widzicie, na pół niejako przekrojony. Piec taki ma 10—12 stóp średnicy, jest wysoki czyli głęboki do 30 stóp. Napełniają go z góry w ten sposób, że najprzód sypią warstwę węgli, następnie warstwę rudy, potem znów węgle, potem rudę i t. d. aż do samego wierzchu. Następnie rozpalają ogień i nie ustają palić ni we dnie ni w nocy, a wprawione w murze miechy ustawicznie żar podsycają.

Wysoko jak na piętro wznosi się z górnego otworu słup ognisty, dokoła pryskają złociste iskry i taka w bliskości rozchodzi się jasność, że wśród ciemnej nocy mógłbyś szpilkę znaleść.

Ruda topi się jak wosk, i ognisty, czerwony strumień spływa na dół. Ale to jeszcze nie żelazo, tylko tak zwane żużle, masa szklista, do niczego niezdatna, która albo w osobne spływa naczynia, albo czerpią ją w wiadra i wynoszą. Dopiero kiedy żużle odeszły i gdy robotnik miarkuje, że się już żelazo stopiło, przebija u dołu glinianą skorupę, którą otwór (t) jest zatkany i stopione żelazo odpływa. Inni robotnicy spuszczają je albo do osobnej formy większej, albo czerpią wielkiemi łyżkami i nalewają w mniejsze formy rozmaitych sprzętów lanych z żelaza. (C. d. n.)

# Co mi to za wójt, co czytać nie umie!

Prawdziwe zdarzenie ku pożytkowi tych, co czytać nie umieją,

*opowiedziane przez Ta. Cza.*

Przed schludną chatą na progu siedział Grześ Swistoń, gospodarz stateczny, poczciwy, a przytem wielka figura w całem siole: naczelnik gminy. Kiedyśmy nowe dostali prawa, co je nam nasi posłowie od Niemców wytargowali i wydarli, musiały wszystkie gminy wybrać, dla swego dobra, przełożonych z pomiędzy najuczciwszych, a mocnych głową w gromadzie.

Pokińce, wieś o której to naczelniku słów kilka wam dziś opowiem, wybrały sobie Świstonia, a choć to on niby się z początku opierał, ale gdy go tam duma załaskotała koło serca, przyjął na siebie urząd i odpowiedzialność za gminę.

Przyjmując godność naczelnika gminy, czyli jak inni mówią wójta, miał Grześ pewien frasunek — ale po szczęśliwych wyborach wszystek wyleciał mu z głowy. Gospodarze sprzyjali Grzesiowi, toć aż miło było słyszeć przy wyborach zgodne głosy: Grześ Świstoń, Świstoń Grześ... jedni za drugimi. Tym to czynem dali wyborcy dowód, że rozumieją zgodę, to źródło szczęścia!

Siedzi więc pan naczelnik przed chatą.

Ale czego to on dziś taki markotny? Głowę zwiesił na dół, ręce opuścił ku ziemi i nie patrzy nawet na swoją pociechę, co mu po nieboszczce pozostała, na piękną Anusię. — A dziewczę śliczne, by polna róża. Bo to i cała taka zgrabna, taka jak sarneczka zwinna, i o ładnem liczku. Te oczka jak tarki, usta jak korale, a koło nich wieczny uśmiech, ów towarzysz spokojnego, poczciwego serca — koniec końców dzieweczka jak z obrazka. Dawniej to ojciec dziecię popieścił — dziś na nią i okiem nie rzuci.

Co się stało panu sołtysowi?!

Na radzie w powiecie nie był, żółtą blachę, co ją tak nosić lubiał na piersiach (a niech mu trochę dumy Bóg wybaczy jak i tym innym, co się oznakami szczycą), rzucił w kąt, ...ej Grzesiu! co tobie?... jaki cię trapi frasunek panie naczelniku Pokiniec?

Czy zbiory źle idą, może z bydła co zachorowało, może — a może jakie inne nieszczęście?

Pan sołtys się kłopotał, iż przychodziły do niego różne arkusze z powiatu, jedne całe zapisane, drugie tylko do połowy, z wielką pieczęcią u dołu, jakby wylał całą maźnicę tego smarowidła, a coraz więcej ich przybywało a przybywało.

A martwiły go one dlatego, że patrzał na nie, na te małe kruczki i kropki — a nie rozumiał ich... Ot, po prostu mówiąc, moi ludziska, pan wójt czytać nie umiał. Przed gromadą udawał, że tak umie czytać, jak profesor z książki!

Przy ludziach zakładał żółte okulary na nosisko, mruczał pod nosem i gadał, ale wcale co innego, niż tam w piśmie stało.

Miał wprawdzie kilku pisarzy do pomocy, ale jeden z nich pokumał się był bardzo z flaszką i w pijanym stanie poszedł gdzieś do czarta, drugi podburzał gromadę do procesu z dworem. Gromada słuchała tego łgarza, wysyłała deputatów do Wiednia; deputaci zjedli wiele grosza, a proces przegrany, bo sprawiedliwość była tym razem na pańskiej stronie; trzeci następca po tym wypędzonym był podobno w niezgodzie z siódmem bożem przykazaniem, i dla tego dzwonił potem kajdankami.

Patrzcież więc ludziska, czy nie lepiej by było, gdybyście jakiego chłopaka z gminy waszej wyuczyli na pisarza, a mieli swego, z tej samej wsi, coby znał i Jana i Wojtka, do złych czynów nie podburzał, lecz tylko był pomocą wójtowi.

Słuchajcie jednak dalej.

Został się tedy sam pan Świstoń z swemi żółtemi okularami — okulary jednak nic nie pomogą temu, co nie zna ani **a**, ani **b**.

A tu tymczasem paczka tych papierów rosła codzień... Nieszczęśliważ to była godzina dla pana naczelnika!.. nieraz wyrzucał on sobie, poco przyjął godność, która mu tyle zmartwienia robi?!

Duma więc, a duma — gdyż dziś właśnie posłaniec przyniósł znowu całą torbę tych przeklętych papierów!

Tymczasem tam za płotem, gdy pan naczelnik nie wie, gdzie ma głowę, jakaś młoda para chichocze i śmieje się. A któż oni? Anulka i Pietruś, dzielny parobczak, co i ukończył szkółkę i księdzu do mszy sługiwał i kosić i orać umiał raźnie, a zuch i chwat aż miło. Pokochał on Anulkę i ona go kochać poprzysięgła — przystawali do siebie jak przylepki!

— No, a kiedyż Hanusiu nasze weselisko?

— Et, bo widzisz ojciec nie chcą...

— O! nie chcą! to ich przymuszę.

— Wstydź się Pietrusiu, cóż tak mówisz, to grzech! — ja się pogniewam...

— Ty moje słonko? o dla Boga co mówisz? Ty gwiazdko moja. Już będę cicho, bo cobym ja dla ciebie nie zrobił... Sko-

czyłbym z kopuły, płynąłbym rzeką do Krakowa, dałbym się porąbać — wszystko za ciebie!

— Dziwnyś mój Piotrusiu, któżby cię tam rąbał, a ja nie miałabym chyba serca, aby ci rozkazać skoczyć z kopuły. Lepiej wolałbyś...

— Co?... poderwał figlarz Piotruś, może ciebie pocałować?... dobrze... To mówiąc schwycił dziewkę w pół i przycisnął swe usta do jagód dziewczyny; — ta niby chciała się wyrwać, niby nie, nareszcie krzyknęła i frunęła do domu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Pan Świstoń Grześ duma!

A dumali nad nim i w urzędzie. Pisali mu, aby naprawił drogi — on ani łopatą nie kazał ruszyć; kazali otoczyć wieś wartą, bo się zaraza była pokazała — on i tego nie usłuchał; kazali mu zapłacić za to nieposłuszeństwo karę — nie zapłacił! On nie wiedział o tem, bo to było napisane, a on czytać nie umiał.

Przyjechał ktoś z miasta, co był w powiecie i dowiedział się, że z Grzesia niezadowoleni.

— A co tam wasz sołtys? pytał pan starosta, coś mnie nie słucha, źle na tem wyjdzie... krótkie jego panowanie; ja mu piszę, piszę, a on nic — czy może czytać nie umie?

Ten ktoś zajechał z miasta do karczmy. W karczmie arendował katolik, gospodarzy pełno było, siedzieli przystojnie i rozpowiadali o swojej biedzie. Ten ktoś gromadzie to opowiedział, jeden z gromady wyrwał się z okrzykiem:

— Co mi to za wójt, co czytać nie umie! i wnet to wszyscy podchwycili — cała wieś powtarzała jedno i to samo.

Doszło to do uszu Grzesia.. Zmartwił się nieborak i nigdzie się nie pokazywał. Anulka płakała, a Piotruś kilka razy naprzykrzał się sołtysowi, aby mu co dał do przepisania. Tym sposobem poczciwy chłopak chciał dać wiedzieć Grzesiowi, że zna jego położenie, a mógłby mu pomódz.

Grześ oddalił go, mówiąc: Nic nie mam do pisania.

Tymczasem przyszli żandarmi, wzięli pieniądze za karę i zagrozili Grzesiowi, że jeżeli będzie nieposłuszny, to go powiat z urzędu złoży.

Grześ w przeciągu miesiąca postarzał się, jakby mu przybyło w metryce kilka krzyżyków. Włosy mu posiwiały, brodę zapuścił i dumał... Do księdza wstydził się puścić, tak samo do nauczyciela — kilka razy już nasunąwszy kapelusz na głowę i wziąwszy pod pachę cały snop papierów, szedł do jednego z nich, ale w połowie drogi wracał się — myślał bowiem, iż się hańbą okryje, gdy się dowiedzą, że do książek dotąd był głupi.

Tu krajało mu się serce na samą myśl, iż żandarmi znowu przyjdą i zabiorą drugi raz te papierki piękne, co na posag dla Anulki składał i z urzędu złożą.

Nareszcie dnia pewnego po mszy św. a gorącej do Boga modlitwie, zapukał do drzwi Piotrusia.

— Piotruś — ty w domu?

— Wnijdźcie ojcze...

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! — a czem ojcze mogę wam usłużyć?

— Ty kochasz Anulkę?

— Wy się jeszcze pytacie?

— Będzie twoją!

— Ojczulku, ojczulku co ja słyszę?!

— Nie ciesz się jeszcze, jest tu warunek... Posłuchaj tylko... Tu pan Świstoń szeptał coś długo Piotrusiowi do ucha... Ten potem skłonił mu się do kolan, ucałował ręce, a gdy Świstoń z chaty wychodził rzekł do niego:

— A więc dziś wieczór ojcze!

Grześ nie wiedzieć dlaczego, codzień wieczorem chodził do Piotrusia. Wtedy zamykali się obydwa w chacie i tak siedzieli dwie albo trzy godzin. Czasami tylko słychać było: a-be-bi-bu-ma-ta-wa-za-ga... Po dwu tygodniach tego zamykania się Grześ jakby odmłodniał... nigdy tak długo nie dumał i owszem zacierał ręce z radości, powtarzając pod nosem!

— Jakoś to będzie.

tak długo na jednej nodze stać nie potrafisz! — To prawda, odpowiada chłopek, ale gęsi moje potrafią stać jeszcze dłużej.

— Stanisławie, pożyczcie mi pługa. — Kiedy mi potrzebny. — Przecież nim nie orzecie, tyko nowym. — — A jak mi się nowy popsuje, czemże będę orał? — Co wam się ma zepsuć, a jak się zepsuje, to wam kowala zapłacę. — Kiedy po niedzieli wyjadę obydwoma. — Ale w ten tydzień jednym orzecie.— Cóż z tego?... i tak wam pożyczyć nie mogę, bo mi potrzebny. — Oj człowiecze! robicie tak jak mówi przysłowie: Leży pies na sianie, i sam go nie je i krowie go nie da.

— Król francuski czynił raz przegląd wojska swego w dolinie pięknej i szerokiej. Chłopek, który miał w bliskości rolę zasianą grochem, przybył z ciekawości, ażeby się widowisku przypatrzyć. Stanął jak wryty i z początku z żalu i słowa nie mógł wymówić, gdyż całą jego rolę i jego groch zielony tratowała niemiłosiernie konnica. Po chwili oprzytomniał, uśmiechnął się figlarnie i począł krzyczeć na całe gardło: Cud! cud! cud!.. „Dlaczego tak krzyczysz?“ pytał go któryś z starszych. On jednak nic nie odpowiadał, tylko krzyczał ustawicznie: cud! cud! Doniosło się to do króla. Ten z ciekawości zbliżył się do chłopa i zapytał: „Dlaczegóż poczciwy człecze tak krzyczysz, i gdzież widzisz te cuda?“— „Najjaśniejszy Panie! odpowiedział wieśniak, toć cud się stał prawdziwy, ja posiałem na tej roli groch, a teraz zeszła taka piękna konnica“. Uśmiechnął się król i kazał sowicie wynagrodzić szkodę wyrządzoną.

— Wieśniak wracał na pięknym żwawym koniu z jarmarku do domu. Niedaleko miasta spotkał czarno zasmolonego żyda, na chudej kościstej szkapie, która uginała się pod ciężarem i ledwie nogi za sobą wlokła. Wtem żyd wyciąga pistolet, mierzy do chłopa i mówi: „Ny, ja bym sobie życzył, ażeby moja szkapa tyle dostawała owsa, co wasza, i wyglądała tak pięknie i gładko. Zamieniajmy się na konie!“—Trudna była rada, a lufa skierowana do czoła była silnem poparciem żądania. „Konie mam dwa, a życie tylko jedno“ — pomyślał sobie chłopek, zsiadł z konia, oddał go żydkowi, a natomiast wziął od niego na pół zdechłą szkapę. Rozjechali się każdy w inną stronę. Po chwili jednak wieśniak obejrzał się na wszystkie strony, a gdy już żydka widać nie było, ujął szkapę za cugle, zawrócił i piechotą prowadził do miasta. Gdy już przybył do pierwszych domów, zawiązał uzdę na grzbiecie szkapy i rzekł. „Idź biedaku mizerny, ty prędzej niż ja znajdziesz stajnię swego pana“. Tak szli przez kilka ulic, aż nareszcie koń zatrzymał się przed jedną stajnią i już dalej iść nie chciał. Wieśniak wszedł do domu i zastał właśnie owego żydka, jak ten sobie z sadzy twarz obmywał i rzekł: „Czyście powrócili zdrowo do domu Abramku? Możebyśmy zniszczyli naszą ugodę, bo jej sąd dotąd nie potwierdził. Oddajcie mi mojego konia, a wasz stoi przede drzwiami.“ Widział oszust, że go odkryto, i z uśmiechem oddał

Pewnego dnia kazał się zebrać po mszy w niedzielę całej gromadzie, a gdy wszyscy stanęli w koło, stanął w pośród nich Grześ z małą książeczką w ręku i rzekł:

— Kto to powiedział w karczmie: „Co mi to za wójt, co czytać nie umie?“

Gospodarze ani słowa nie odrzekli i popatrzyli się tylko po sobie. Aleć wtem wystąpił Jaśko Przekora i odpowiedział:

— To ja powiedziałem.

— A mój drogi, omyliłeś się, rzekł Grześ, patrz, że umiem czytać. (Tu otworzył książkę i czytał bardzo gładko). Widzisz więc Jaśku, że czytać umiem.. jednak powiem wam, że zły to był wójt, co czytać nie umiał! Przyznaję się przed wami, że czytać i pisać nie umiałem — ale patrzcie, to mój nauczyciel, Piotruś, narzeczony mojej Anulki; widzicie zatem, czego dokonałem w krótkim czasie — i piszę i czytam, a to wielkie dobrodziejstwo! Otóż, żeby ochronić dzieci nasze od tego nieuctwa, składam tu wam małą ofiarę, sto papierków, niech służą na wybudowanie szkoły, lepszej i większej, jak dzisiejsza.

Gromada z początku słuchała słów tych w milczeniu, na końcu jednak nie umiała się wstrzymać, i podniosłszy sołtysa w górę, krzyczała: Niech żyje sołtys, niech żyje Świstoń!

Grześ przy pomocy Piotrusia uporządkował papiery, wypełnił rozkazy z dodaniem przyczyny, dlaczego był nieposłusznym.

Pan starosta mocno się z tego ucieszył, jak i my cieszymy się z tego, jeżeli coraz więcej braci naszych garnie się do nauki.

Moglibyśmy nawet powiedzieć, iż niezadługo przyjdzie czas, w którym już nie o sołtysie, ale tak powiedzą: co mi to za gospodarz, co czytać nie umie!

## Rozmaitości.

— Gdy mędrcowi starożytnemu powiedział ktoś, że ludzie źle o nim mówią, odrzekł tenże: „Cóż innego mam uczynić, jak tylko tak żyć, aby im nikt nie uwierzył.“

— Chłopek spotkał raz szewca znajomego, który się chwalić i rozmaitemi sztuczkami popisywać lubiał. Ten stanął na jednej nodze i mówił do chłopka: „Założę się z tobą, że

wieśniakowi konia. Chłopek jednakże odbierając konia dodał: „Abramku! dacie mi jeszcze łaskawie 50 złr. za furmankę; ja i wasz koń szliśmy piechotą, a mój i nie jadł i zmęczył się, wart zatem takiego zarobku.“ Skrobał się żyd po głowie i targał brodę, ale kusa rada, musiał się i na to zgodzić, wyjął pieniądze i zapłacił. „Nieprawdaż Abramku — zawołał chłopek na swoim koniu—moja szkapa biegnie szybko i tęgo,“ — i odjechał do swojej wioski.

— A wstańże Stachu, bo już słonko wysoko, a ty jeszcze spisz· — Dajcie mi pokój matusiu, małom że się wczoraj narobił? aż mi w krzyże wlazło. — Oj nie robota, ale próżniactwo wlazło ci w krzyże. — Nie przewodźcie nademną, bo i tak nie wstanę. — To spijże próżniaku, nic nie masz i niczego się nie dorobisz, skoro niechcesz na to pamiętać, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

— „Kto jest najbogatszy?“ zapytano raz mędrca. „Ten, który najmniej potrzebuje“ — odpowiedział tenże.

— Co wy też Kazimierzu zawsze pracujecie i pracujecie wedle tego gospodarstwa, toć to zima, odpocząć trzeba. — Hej kumotrze, albo to brzuch odpoczywa, trzeba mu jadło sposobić. — No, brzuch, jak brzuch, aleć przecie wszystko spoczywa, toż i drzewa spią i zboże leży w ziemi i wody już stanęły. — Po wierzchu kumotrze, po wierzchu, ale wewnątrz zawsze się tam praca odbywa, powinniście wiedzieć o tem, że: Kto się pracy nie leni, temu się rola pleni.

---

# Złote ziarna.

Strumyk z góry spada, na łąki wylewa
Woda wodę goni, nigdy nie ubywa;
Podobnie nam płyną lata nasze młode
I giną jak kamień wyrzucony w wodę.

---

Bądź okrutnym jak pszczoła do swojej obrony,
Lecz zawsze pobłażania z dobrocią używaj:
Nie zaczepiaj nikogo, gdyś niezaczepiony,
Często przebaczaj, nigdy nie wyzywaj.

---

Smierć macocha
Kto grzech kocha.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Wydano dnia 17. Listopada 1871.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.